Rok VI Rzeszów, 11. 6. 1955 r. Nr 22 (268)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Jerzy Hordyński

Przyszłemu

Za kręgiem lat to samo słońce
zapali horyzonty gór
i będzie lśnić na ostrzach piór
pieśń, której nie zdołałem skończyć

Nie mógł godziny mojej dobiec
wiersz, który już w powietrzu drży,
lecz niby wieniec, musisz ty
na nowej zatknąć go budowie.

Wasz wiek nam tylko werble ciskał
z proroczych cyfr i groźnych kart
i tyle był poeta wart,
ile krew na pobojowiskach.

Uparty kroczył w twoje dzieje
ulicą niepowstałych miast,
obwieszczał pociskami czas
rozpaczy, buntu i nadziei.

Dlatego głosem innych książek
wspomnij surowość naszych dni,
niech w strofie twojej wszystko tkwi,
ku czemu trudnym życiem dążę.

Dla turystów z woj. rzeszowskiego pociągający jest starożytny Sandomierz z pięknymi zabytkami. Na zdjęciu renesansowy ratusz.

Tłumaczę „Pana Tadeusza"

Ewa Söbek
poetka węgierska, laureatka Nagrody Państwowej

Rok Mickiewiczowski jest wielkim wydarzeniem nie tylko dla Polaków, ale dla wszystkich postępowych działaczy sztuki na całym świecie. Dzieła Mickiewicza należą do skarbnicy literatury światowej. Cieszy mnie — poetkę węgierską, że będę mogła złożyć swój skromny hołd temu geniuszowi poezii — tłumacząc na język węgierski **„Pana Tadeusza"**, przyczyniając się w ten sposób do tego, ażeby ta perła literatury trafiła także pod węgierskie strzechy.

Moja młoda twórczość literacka, poza działalnością pokrytycką, koncentruje się w poważnej mierze na przekładach dzieł polskich autorów na język węgierski. Przełożyłam „Początek opowieści" M. Brandysa oraz liczne utwory poetów polskich. Jako przyjaciela literatury polskiej cieszy mnie fakt, że właśnie za tę działalność literacką otrzymałam w 1952 roku Nagrodę Państwową. Dowodzi to jak wielkie znaczenie przywiązuje się w naszym kraju do spopularyzowania literatury polskiej. Moje kontakty z polską literaturą nie skończą się wraz z przetłumaczeniem „Pana Tadeusza". Zamierzam w najbliższej przyszłości przyswoić literaturze węgierskiej wybór wierszy i nowel Marii Konopnickiej.

Ale wróćmy do **„Pana Tadeusza"**. Z tą wspaniałą mickiewiczowską epopeją zetknęłam się przed czterema laty, kiedy odwiedziłam po raz pierwszy Wasz kraj. Moja znajomość języka polskiego była wtedy jeszcze słaba. Przyznam się szczerze, że **„Pana Tadeusza"** zaczęłam czytać bez większego zapału, traktując to dzieło jako niezbędną lekturę dla poety, który chce poznać najwybitniejsze utwory literatury polskiej. I niespodziewanie dla mnie samej nastąpiło olśnienie. Już pierwsze strofy porwały mnie, wzruszyły do głębi i mimo trudności językowych, mimo konieczności ciągłego posługiwania się słownikiem, przeczytałam **„Pana Tadeusza"** jednym tchem, od deski do deski.

Jakież tam są wspaniałe, tryskające ogniem i świeżością obrazy, jakie żywe, dynamiczne, barwne opisy, ile dowcipu, przenośni porównań, ileż scen lekkich, jak zefir — i starć ostrych, brutalnych, jakaż jędrność języka i melodyjność zdań, jaka przepyszna gama uczuć ludzkich, nastrojów, wrażeń, refleksji, dźwięków, półtonów... Chwyciło mnie to dzieło tak mocno i jako czytelnika i jako poetę— że powzięłam wtedy dwie trudne decyzje, które na parę lat zmieniły całkowicie moje dotychczasowe życie: pierwsza — to opanować język polski tak, żeby móc jak najpełniej, jak najlepiej poznać „Pana Tadeusza", a druga — przetłumaczyć ten poemat na węgierski.

Zdawałam sobie sprawę, że podjęłam się bardzo trudnego zadania. Wiedziałam, że przed wojną były u nas nieliczne próby tłumaczenia „Pana Tadeusza", ale żadna z nich nie doczekała się druku.

Język polski przyswoiłam sobie już na tyle, że nawet „myślę po polsku". Od czterech lat pracuję nad tłumaczeniem. Tylko na krótko „zdradziłam" Mickiewicza dla Słowackiego. Przełożyłam „Jana Bieleckiego" i fragmenty „Beniowskiego". Lecz zanim przystąpiłam do przekładu „Pana Tadeusza" prawie pół roku wybierałam odpowiednią formę wierszową. Dokonałam tłumaczenia blisko tysiąca wierszy w różnych formach, szukając tożsamości artystycznego efektu, szukając formy, która w dynamice i rytmie najbardziej odpowiadałaby oryginałowi.

Węgierski trzynastozgłoskowiec ze względu na właściwości naszego języka różni się zasadniczo od polskiego. W naszym języku są sylaby krótkie i długie (w polskim długość sylab oznacza się tylko akcentem), dużo jest rymów męskich (w polskim — mało, toteż Mickiewicz nie używał ich w poemacie). Pragnąc nie zatracić zalet i możliwości naszej wersyfikacji, pragnąc jednocześnie, ażeby tekst mickiewiczowski brzmiał naturalnie i jak najbardziej „po węgiersku", trzymałam się oryginału z tym, że zachowałam 6 i 7 sylab w półwierszu, stosując tę zasadę swobodnie, jeżeli chodzi o ich kolejność, i na przemian używając rymów męskich i żeńskich, uważałam, że wierność przekładu wobec oryginału nie może być mechaniczna, a należy tłumaczyć tak, aby nic nie uronić ze wspaniałości oryginału. Forma wierszowa ostatecznie przeze mnie przyjęta w tłumaczeniu, po wstępnych badaniach, poddana została dyskusji w Związku Literatów w Budapeszcie, przy udziale naszych wybitnych tłumaczy i polonistów.

W czasie pracy napotykałam na różne trudności. Weźmy chociażby pierwsze strofy. Mickiewicz wyraża w nich swą tęsknotę do ziemi, na której się urodził. Próbowałam oddać patetyczność tego nastroju. Ale nic nie wychodziło. Nastrój ten zdołałam odtworzyć dopiero wówczas gdy, przebywając przez dłuższy czas w Polsce, odczułam nostalgię za moim krajem. W tym stanie ducha, stały mi się nagle bliskie pierwsze strofy epopei. Wiersz Mickiewicza odsłonił mi się w całej prawdzie mojego osobistego przeżycia.

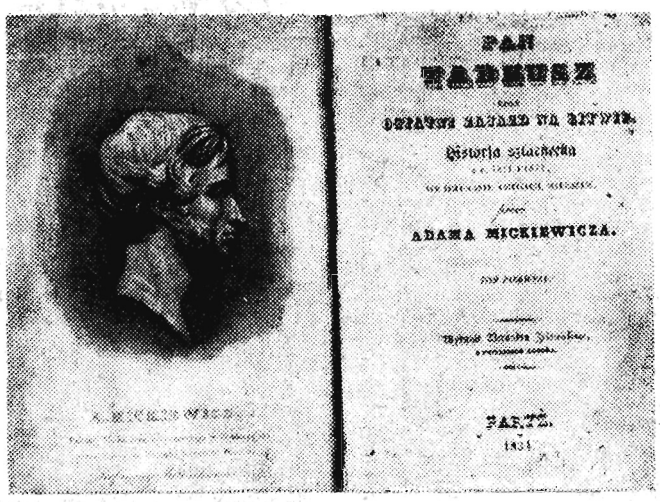

Karta tytułowa I-go wydania „Pana Tadeusza" z popiersiem autora.

Jestem miłośniczką muzyki. Szczególnie więc zachwyca mnie muzyczność „Pana Tadeusza". Okazało się, że zwłaszcza przy tłumaczeniu tego mickiewiczowskiego dzieła trzeba się posługiwać „uchem". Oto dźwięki koncertu Jankiela przykuwają uwagę słuchaczy. W tem pojawia się w tonach jankielowskich cymbałów nieprzyjemny, syczący głos Targowicy, „jak zgrzyt żelaza po szkle". I żeby otrzymać ten sam efekt, wydobyć całe oburzenie na zdrajców — targowiczan, musiałam dobierać odpowiednich słów, chociaż w naszym języku brak wyrazów o „syczącym" brzmieniu.

Moja praca nad „Panem Tadeuszem" dobiega końca. Pozostała mi jeszcze XII Księga. Coraz bardziej przeżywam nieporównywalne z niczym uczucie: radosne, a zarazem trochę jakby smutne. Radosne — bo po tylu trudach, troskach, a nawet po chwilach rozpaczy, będę mogła oddać na własność memu narodowi mickiewiczowskie arcydzieło. Trochę smutne zaś dlatego, że po tylu upajających dla twórcy chwilach obcowania z tym wspaniałym tekstem, po latach głębokiego, jak najbardziej osobistego przeżywania piękna mickiewiczowskiego arcydzieła — muszę się z nim rozstać. Ale cieszy mnie i napawa dumą przekonanie, że naród węgierski, dla którego w naszym ustroju książka staje się chlebem powszednim, że naród węgierski, który wielką przyjaźnią darzy naród polski, będzie mógł przeżyć i odczuć całe mistrzostwo jednego z największych tytanów poezji — Adama Mickiewicza.

Tłumaczenie „Pana Tadeusza" — sądzę, jeszcze bardziej zbliży nasze narody. Wymiana dóbr kulturalnych jest jednym z bardzo ważnych czynników, łączących narody w ich nieustannej walce o demokrację i o pokój. Toteż nie ustanę w mojej pracy twórczej, aby dalej odkrywać przed moim ludem piękno polskiej literatury.

Przodujący kolporter

W każdym zakładzie pracy — jeśli nie spotykamy wywieszek z nazwiskiem zakładowego kolportera książek, to którykolwiek pracownik udzieli nam z pewnością wyczerpującej odpowiedzi kto tę odpowiedzialną funkcję spełnia. We wszystkich bowiem zakładach naszego województwa „Dom Książki" zorganizował zakładowy kolportaż książek. Toteż troska 800 zakładowych kolporterów, aby książka zdobywała sobie coraz nowych czytelników — przynosi piękne rezultaty. Tysiące książek z różnych dziedzin wędruje co miesiąc do fabryk czy instytucji i za pośrednictwem kolporterów dochodzi do rąk tych ludzi, którzy nie przywykli jeszcze do stałego obcowania z książką, czy posługiwania się nią przy pracy.

Inż. Czerwiński przy kiosku z książkami.

Praca kolportera książek nie jest łatwa, dlatego wyniki jej nie zawsze imponują. Wszędzie jednak, pozostawia ona po sobie trwałe ślady. Efekty ilościowe, to odbicie stopnia osobistego zainteresowania kolportera sprawą upowszechnienia książki i czytelnictwa, a także dowód zrozumienia dla niej ze strony aktywistów. Ale pierwszoplanową rolę odgrywa zawsze kolporter.

Spośród wielu dobrze pracujących kolporterów na czoło wysuwa się inż. Czesław Czerwiński z Zakładów Metalowych Dęba (pow. Tarnobrzeg).

Oto co mówi on o swoich poczynaniach.

Obowiązków zakładowego kolportera książek podjąłem się w październiku ub. roku. Słabsze początkowo efekty mej pracy — jeśli brać pod uwagę ilość rozprowadzonych książek — poprawiały się w miarę, jak zdobywałem nowych czytelników. Obecnie ilość książek dostarczonych miesięcznie wynosi około 1600 egzemplarzy.

Niemal 80 procent rozprowadzonych książek to literatura fachowa. Reszta, to literatura społeczno-polityczna, popularno-naukowa i beletrystyka. Książek fachowych rozprowadzać by można znacznie więcej, jednak stoją temu na przeszkodzie zbyt niskie nakłady.

Trzeba tutaj podkreślić, że zainteresowanie książką jest duże zarówno wśród inteligencji jak i wśród majstrów brygadzistów czy też robotników mniej kwalifikowanych.

— Uważając, że omówienie tylko samych wyników pracy kolporterskiej inż. Czerwińskiego bez „zahaczenia" o źródła powstawania tych niecodziennych sukcesów — nie zobrazuje dostatecznie całokształtu jego przedsięwzięć, poprosiłem swego rozmówcę o parę uwag i z tego zakresu.

I oto co dalej powiedział inż. Czerwiński.

— Staram się w miarę możności coraz więcej poznawać potrzeby, zainteresowania, a także poziom pracowników, aby móc dostarczyć im odpowiednią literaturę. Wiele rozmawiam z ludźmi, stąd też znają mnie niemal wszyscy pracownicy. Największą bodaj nagrodą za tę pracę jest dla mnie fakt, że wielu z nich oczekuje kiedy przyjdę z książkami. Staram się też żądane książki dostarczać, bo uważam, że najlepsza reklama dla czytelnictwa jest zaspokajanie potrzeby czytelnika. A potrzeb tych jest coraz więcej. Sprawa upowszechnienia książki nie jest obca tak kierownictwu zakładów jak i organizacji partyjnej z radą zakładową i aktywem kulturalnym włącznie, czemu też zawdzięczam swe sukcesy. Między innymi ustawienie kilku gablot dla ekspozycji nowości wydawniczych znaczy bardzo wiele. Nieocenione także usługi w popularyzacji książki daje mi również radiowęzeł zakładowy. Ale najważniejsze, to aktywna pomoc moich „książkowych współpracowników", którzy w liczbie 15 osób pracują nad upowszechnieniem czytelnictwa w poszczególnych działach produkcji. Dla przykładu wymienię choćby kilka z tych osób jak ob. Jan Kossakowski, Franciszka Trafisz, Elżbieta Kowalik, M. Andryszewska i inni.

Nie bez znaczenia — jako bodziec dla mnie — jest także fakt — mówi dalej ob. Czerwiński, że z uzyskiwanej ze sprzedaży książek prowizji kolporterskiej wzbogacam własną bibliotekę domową.

Tym zamiłowaniem do książek inż. Czerwiński pragnie „zarazić" każdego człowieka pracy. **Fr. Moraniec**

Dziś w numerze:

H. DZIURZYŃSKI — Matka w rysunku dziecka

E. WISZ — Sprawa nie tylko zespołu z Głogowa

T. STANISZ — Wilhelm Mach wśród czytelników

W. JAWCZAK — Dzieje „Światła z ziemi"

Tu przypiął tam przylatał

Okruchy literacko-historyczne

Społecznym obowiązkiem każdego obywatela ziemi rzeszowskiej jest dać swój wkład w budowę Młodzieżowego Domu Kultury im. A. Mickiewicza

Matka w rysunku dziecka

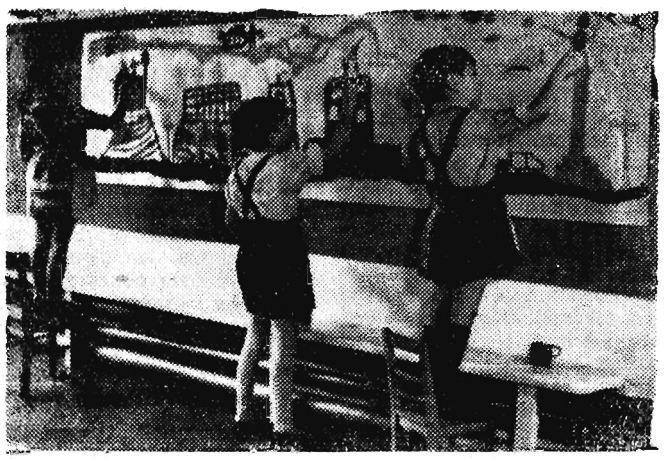

Mali „artyści" malują

W kwietniu br. Ministerstwo Oświaty zawiadomiło Wojewódzki Wydział Oświaty i WODKO, sekcję dydaktyczno-naukową rysunku i pracy ręcznej w Rzeszowie, że Japońska Komisja UNESCO zaprosiła młodzież polskich szkół podstawowych do udziału w Międzynarodowym Konkursie Rysunków Dziecięcych w Japonii.

Tematem Międzynarodowego Konkursu Rysunków Dziecięcych była: „Matka". Dzieci mogły rysować portret matki, przedstawiać sceny z życia matki pracującej zawodowo, życie rodzinne z matką jako główną postacią. Technikę wykonania pozostawiono dowolną, z wyjątkiem rysunku ołówkiem. W konkursie mogły wziąć udział dzieci w wieku do 13 lat.

Konkurs ten cieszył się dużym powodzeniem. Prawie ze wszystkich szkół podstawowych naszego województwa nadesłano około 600 wybranych zasługujących na uwagę prac.

Niektóre z nich zadziwiają śmiałością i szczerością ujęcia. Widzimy wśród nich portret matki i matkę zajętą przy pracach w gospodarstwie domowym. Bardzo często powtarzają się sceny z życia w domu rodzinnym. widzimy też matkę idącą z dzieckiem na spacer itp. Wiele dzieci rysuje matkę czy to na budowie, lub też kierującą traktorem.

Poza tym w rysunkach tych mali autorzy szczerze podkreślili jaką troską otacza się w naszym ustroju matkę i dziecko. Dlatego **też rysunki te należy ocenić nie tylko jako formę plastycznego wypowiadania się młodzieży,** ale również uważać je za cenny dokument przejawów życia w Polsce Ludowej. Prace te świadczą również jak kształtuje się w Polsce Ludowej świadomość dziecka.

Ale przede wszystkim zainteresowanie konkursem należy uważać za wyraz hołdu naszych dzieci dla matki. Słowo matka jest dla wszystkich synonimem poświęcenia, nic też dziwnego, że w rysunkach szczerze czujących dzieci, postać matki znalazła tyle wyrazu.

Zrozumienie tych wartości, jakie zawdzięczamy matce sprawiły, że młode, gorące serca odczuły piękno tej inicjatywy i masowo wzięły udział w Międzynarodowym Konkursie Rysunków Dziecięcych organizowanym przez Japońską Komisję UNESCO.

Niesposób tutaj wyliczać wszystkich autorów prac zasługujących na wyróżnienie. Spośród wielu z rzeszowskiego wybrano ponad 20 rysunków kwalifikujących się do udziału w tak poważnym konkursie. Pozostałe zdeponowano w WODKO w Rzeszowie powiększając bardzo interesujące zbiory archiwum rysunków dziecięcych.

Do tej pory nasze dzieci pisały cały szereg listów do dzieci w Związku Radzieckim, krajów demokracji ludowej. Posyłały im swoje fotografie, widokówki, znaczki organizacji harcerskiej i ZMP. Udział dzieci polskich w międzynarodowym konkursie rysunkowym, jest praktyczną lekcją internacjonalizmu, ożywioną niekłamaną radością płynącą z łączności z innymi narodami.

Z wartości wychowawczych tej imprezy zdajemy sobie wszyscy sprawę, natomiast należy zwrócić uwagę na jej znaczenie w wychowaniu domowym. Dzieci rysują bardzo chętnie. Widzimy to w szkole, w przedszkolu i świetlicy. Tymczasem w domu żałuje się im papieru, ołówka, kredki, farby i pędzla. Bardzo często rodzice nie mają zrozumienia dla twórczości dziecka, dopiero wyróżnienie z jakim spotyka się w szkole, zmienia ich nastawienie.

Nieraz bardzo „gorliwi" rodzice robią niedźwiedzią przysługę swoim dzieciom i podsuwają im różne ilustracje do przerysowywania, sami rysują lub polecają rysować starszemu rodzeństwu, a nawet dają rysować fachowcom. Następnie te prace podpisuje się, że „wykonała uczennica klasy II, V" czy B II. Czy w ten sposób nie krzywdzimy naszych dzieci? Niewątpliwie tak! Jasne jest bowiem, że rysunki uczniowskie będące samodzielną pracą rozwijają siły twórcze młodzieży, ale pod warunkiem, gdy dorośli dzieci nie wyręczają.

We wszystkich klasach szkoły ogólnokształcącej są uczniowie wykazujący szczególne zainteresowanie, a często uzdolnienia plastyczne. Takim nie wystarcza liczba godzin lekcji rysunków wyznaczonych przez program. Dlatego należy dać im możność „wyżywania" się rysunkowego i malarskiego, wzbogacenia swej wiedzy w zakresie rysunków i malarstwa, pogłębiania kultury plastycznej na zajęciach pozalekcyjnych prowadzonych przez fachowców.

A teraz mali autorzy! Winniście czekać cierpliwie na wyniki konkursu. Jako nagrody przewiduje się między innymi oryginalne lalki japońskie. Zapewnie dużo dzieci czeka na te cacka... a może się i doczeka.

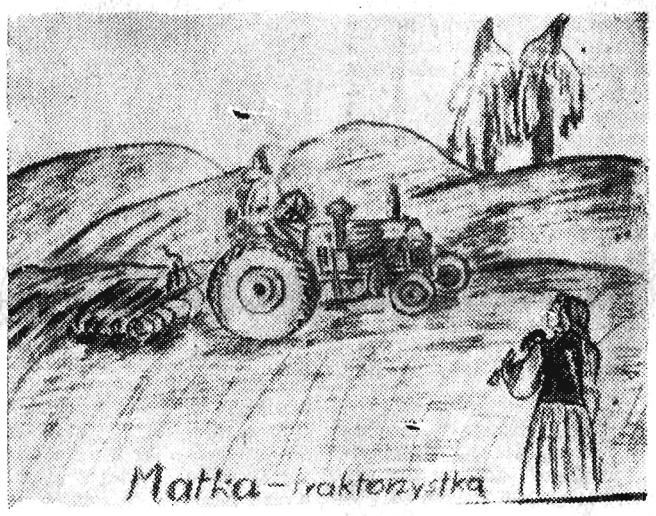

Matka — traktorzystka. Rys. Alfreda Gęciak. Szkoła Podstawowa Turaszówka

*

Niech te uwagi na marginesie Międzynarodowego Konkursu Rysunków Dziecięcych będą hołdem złożonym naszym matkom, bo przecież wspomnienie o matce jest najpiękniejsze, nie tylko dla małego dziecka, czy dorastającego młodzieńca, ale i dla dojrzałego człowieka.

Henryk Dziurzyński

Sprawa *nie tylko* zespołu z Głogowa

Głos w dyskusji

Tym razem w dyskusji zainicjowanej przez Tadeusza Sobolewicza— aktora Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej artykułem „Ligęza czy Mazepa" bierze udział dziennikarz z Redakcji „Nowin Rzeszowskich".

Ponieważ jestem głogowianinem „z krwi i kości" i zawsze interesuję się problemami życia artystycznego mojego rodzinnego miasteczka, (a we wspomnianym artykule jest mowa o zespole z Głogowa), dlatego pragnę dorzucić kilka uwag. Chcę przy sposobności omówić sytuacje i innych zespołów.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że zagadnienia poruszane przez T. Sobolewicza są —jak to się mówi — na czasie i według mnie już dawno powinny znaleźć się w kręgu zainteresowań społeczeństwa naszego województwa. Tym bardziej, że w stosunku do Teatru Ziemi Rzeszowskiej a zwłaszcza jego repertuaru, publiczność rzeszowska ma duże i często nawet słuszne pretensje. Mówi chociażby o tym artykuł Henryka Głowackiego pt. „My w sprawie repertuaru".

Jednak bywa i tak, że wielu rzeszowian po wyjściu z teatru i obejrzeniu takiej czy innej sztuki ogranicza się jedynie do wypowiadania różnych zdań i uwag, ale tylko w gronie najbliższych względnie znajomych co nie wpływa bynajmniej na politykę repertuarową. Dlatego uważam, że dyrekcja naszego teatru organizując dyskusje nad oglądanymi sztukami powinna zapraszać nie tylko pracowników umysłowych, przedstawicieli poszczególnych instytucji ale przede wszystkim robotników dla których zagadnienia teatru są również bardzo bliskie. Wówczas takie spotkania mogą dać pożądany efekt.

Równocześnie artykuł T. Sobolewicza omawia jeszcze nienależycie ocenianą pracę amatorskich zespołów teatralnych. Osobno sprawę tę omawia mgr I. Pitulanka, która pokazuje nam działalność amatorskiego ruchu teatralnego od tzw. „schodów kuchennych" i wyciąga wiele słusznych wniosków.

Czy amatorskie zespoły teatralne rzeczywiście borykają się z poważnymi trudnościami? Na to pytanie można odpowiedzieć twierdząco. Nie należy się więc dziwić, że popełniają one w swojej pracy szereg błędów.

Dla przykładu weźmy mocno skrytykowany przez T. Sobolewicza amatorski zespół artystyczny z Głogowa, za niezbyt trafny dobór sztuki, której wystawienie nie wpłynęło dodatnio na smak artystyczny naszego widza. Zarzut ten należy uznać za słuszny. Ale zadajmy sobie pytanie czy wspomniany zespół, wystawiając na deskach WDK w Rzeszowie „Balladynę" Słowackiego popełnił aż tak duży błąd?

Tutaj na obronę amatorów należy podkreślić, że w wymienionym zespole w roli artystów wystąpili tym razem młodzi ludzie: uczniowie szkół średnich oraz — co jest naprawdę dużym plusem — robotnicy miejscowej „Lnianki" i zabrali się do tego co mieli pod ręką. Wybór padł na „Balladynę".

— No dobrze — powie T. Sobolewicz — ale przecież **„w teatrze wojewódzkim PTZRz istnieje tzw. poradnia dla zespołów amatorskich i świetlicowych, gdzie można otrzymać niejedną cenną uwagę i radę.** Poszczególni przedstawiciele zespołów amatorskich mogliby się tam konsultować co do odpowiedniego doboru sztuk.

Jednak zapewniam autora, że o istnieniu takiej poradni mało kto dotychczas wiedział. Komu więc tam radzono nie wiadomo. W każdym razie nie członkom zespołów amatorskich gdyż wielu z nich o istnieniu poradni dowiedziało się z artykułu T. Sobolewicza. Stąd też popieram wniosek mgr I. Pitulanki aby **szeroko popularyzować tę poradnię. Wieść o jej istnieniu musi dotrzeć do wszystkich zespołów naszego województwa.**

Jeszcze gorsza sytuacja istnieje na wsi. Tutaj zespoły świetlicowe zabierają się do bardzo trudnych sztuk wymagających naprawdę wysokich kwalifikacji. Oto np. zespół amatorski z Rożniat (gromada Krzemienica pow. Mielec) przystąpił ostatnio do opracowania sztuki Kruczkowskiego „Niemcy". Jednak okazało się, że amatorzy nie mogli dać rady i w rezultacie zrezygnowali z tej sztuki. Wówczas jeden z członków zespołu pojechał do Mielca, aby w tamtejszych księgarniach kupić coś lżejszego, łatwiejszego. Niestety — nie znalazł nic. Okazuje się bowiem, że repertuar dla wiejskich (nie tylko) zespołów artystycznych jest bardzo skąpy. Są sztuki wymagające dużej ilości aktorów, albo — co się najczęściej zdarza — nie ma żadnych. Ich brak odczuwa się najbardziej w księgarniach miast powiatowych.

Amatorskie zespoły artystyczne na wsi, mają więc poważny orzech do zgryzienia. Nie ma dla nich odpowiednich sztuk. Nic więc dziwnego, że bez głębszego zastanowienia wybierają sztuki za trudne; nie mając potem żadnej pomocy popełniają poważne błędy. **Oczekiwanej pomocy nie dają również i powiatowe domy kultury bo i tam brak często fachowców wysokiej klasy.** A gdy się coś takiego zdarzy to taka „pomoc" bynajmniej nie jest pożyteczna dla młodzieży wiejskiej.

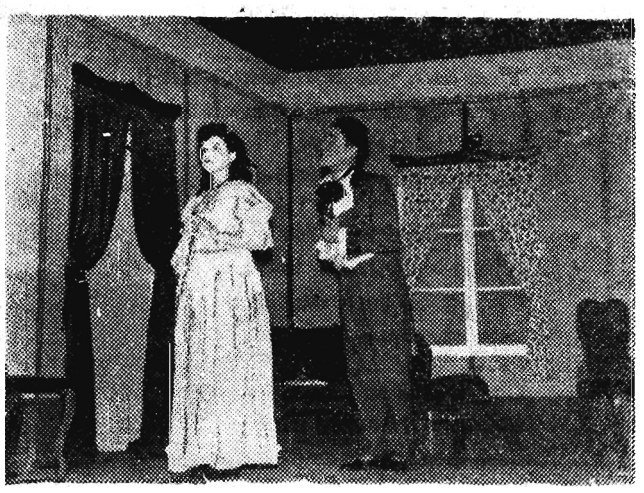

„Śluby Panieńskie" A. Fredry przygotował zespół RPZB w Rzeszowie w reżyserii A. Stojałowskiego

Jest jeszcze jedna sprawa.

W naszym województwie istnieje duża ilość „sezonowych" zespołów artystycznych, które szybko powstają ale również szybko rozwiązują się.

Powstają one w miarę potrzeby. Oto np. w pewnej wsi potrzebne są pieniądze bo buduje się świetlicę czy tp. Wówczas oprócz zabaw organizuje się zespół artystyczny, rozpisuje role i wystawia jakiś skecz, czy komedię — co daje dochód. Stąd też bierze się kiepska gra i wysokie ceny biletów, o których pisał T. Sobolewicz. Po uzyskaniu pewnej ilości pieniędzy, zespół likwiduje się, aby znów wystąpić z jakąś sztuką, gdy zajdzie znowu potrzeba.

O istnieniu „sezonowych" zespołów nie wiedzą ani oddziały kultury prezydiów powiatowych rad narodowych ani też rady narodowe na których terenie te zespoły działają. Warto tu dodać, że gromadzkie rady narodowe niewiele interesują się amatorskimi zespołami teatralnymi i nie niosą im żadnej pomocy.

Aby temu wszystkiemu zaradzić wydaje się słuszne, **aby przy Wydziale Kultury i Sztuki Prezydium WRN powstała komisja repertuarowa,** która by czuwała nad doborem sztuk dla amatorskich zespołów scenicznych.

Bezpośrednio pracą zespołów artystycznych winny się również zająć prezydia gromadzkich rad narodowych, a zwłaszcza oddziały kultury przy prezydiach powiatowych rad narodowych, służąc zespołom radą i pomocą, kontrolując ich pracę, pomagając w realizowaniu śmiałych i trudnych przedsięwzięć.

E. WISZ

W krośnieńskim Domu Kultury kształcą się talenty

Gdybyśmy zapoznali się bliżej z planem pracy Domu Kultury Górnika-Naftowca w Krośnie, łatwo zauważyli byśmy, że poczesne miejsce zajmuje tam zespół taneczny, który prowadzi instruktorka Izabela Syrkowa.

Zespół ten ma już za sobą duży dorobek. Dał się w czasie kilkuletniego istnienia wielokrotnie poznać krośnieńskiej publiczności, zaś ostatnio zyskał żywe brawa podczas eliminacji wojewódzkich w Rzeszowie, gdzie przyznano mu drugie miejsce.

Członkowie zespołu to przeważnie robotnicy Krośnieńskich Warsztatów Remontowych i przemysłu naftowego, którzy po pracy znajdują jeszcze czas na próby. Ale wysiłek nie idzie na marne. Pod okiem instruktorki Izabeli Syrkowej wyrastają nowe talenty. Do takich należy np. Lesław Kubit, przodujący tancerz zespołu, który już sam prowadzi podobny zespół w Polance. Wybija się również Cecylia Trybus bibliotekarka Domu Kultury. To samo zresztą można by powiedzieć i o innych.

Nic dziwnego, że śladem krośnieńskiego zespołu poszło wiele innych, które z Domu Kultury czerpią wzory i przykład. A instruktorka Izabela Syrkowa nie szczędzi sił, aby wszczepić wśród pracowników różnych zakładów umiłowanie pięknego tańca. Prowadzi więc taki zespół w Niegłowicach oraz zespół młodych włókniarzy przy Technikum Włókien Łykowych w Krośnie. Sama przy tym nie zapomina, że wysoki poziom własnej produkcji artystycznej jest najlepszym wzorem dla drugich. Wspólny wysiłek i współpraca jest właśnie źródłem sukcesów.

W. P.

Tańce regionu krośnieńskiego.

Dzieje „Światła z ziemi"

Górnictwo naftowe skupiające się w naszym województwie liczy już ponad 100 lat. Jubileusz stulecia obchodziła „Nafta" w 1953 roku, pod protektoratem Polskiej Akademii Nauk. Powstanie górnictwa naftowego, kojarzy się z jego twórcą — Ignacym Łukasiewiczem, odkrywcą ropy (zwanej wówczas olejem skalnym), wynalazcą lampy naftowej w 1854 roku założycielem pierwszej na świecie kopalni.

W II połowie XIX wieku, w prasie zagranicznej i czasopismach, coraz częściej pojawiały się wzmianki o Łukasiewiczu i jego kopalni. Pojawiały sie również nowe nazwy miejscowości występowania oleju skalnego.

Łukasiewicz znając jego wartości, chce wydobywać go na skalę przemysłową, ale nie ma na to odpowiednich funduszów. Zwraca się o pomoc materialną do bogatych przedsiębiorców, m. in. do lwowskiego aptekarza Mikolasch'a.

* * *

Mimo mniemania Łukasiewicza, że rozwój przemysłu naftowego nie powinien przeszkadzać cesarsko-królewskim władzom Galicji, sprawa wprowadzenia wynalazku, nie poszła gładko. Złościła Łukasiewicza cała Galicja, cały ów jej zatęchły porządek, w którym los wielkiego odkrycia zależał od stopnia głupoty austriackiego, cesarsko-królewskiego urzędnika, czy też humoru rodzimego jaśnie pana.

Czy w tym skrępowanym podwójną niewolą kraju, jest w ogóle droga do jakiegoś postępu? Rozmyślał Łukasiewicz, który na własną rękę torował później drogę górnictwu naftowemu w Galicji. Udało mu się wybudować pierwsze kopalnie ropy w Bóbrce i innych miejscowościach. Wydobywano ropę przy pomocy prymitywnych narzędzi, stosując ręczne wiercenia. Mimo to wydajność szybów naftowych rosła. Wraz z nią rosły apetyty zagranicznych kapitalistów na polska naftę.

Wywiad Johna Rockefellera—kierownika i współwłaściciela powstałej w 1872 r. „Standart Oil Company" szybko ustalił dane o nafcie galicyjskiej. W dyrektorskim gabinecie „króla nafty" padła nazwa miejscowości Chorkówka i nazwisko Ignacego Łukasiewicza. Plan jego działania był prosty: kupić tego człowieka, kupić od niego sposób przerobu ropy — zdecydował Rockefeller.

Do Chorkówki, do Łukasiewicza przyjeżdżają wysłannicy „Standard Oil Company" z bliskim współpracownikiem Rockefellera — mister Andrews. Doszło do rozmowy delegacji amerykańskiej z Łukasiewiczem:

— Na ile dolarów mister Łukasiewicz szacuje swoje przedsiębiorstwo?

Pierwszy w świecie szyb Ignacego Łukasiewicza (kopalnia oleju skalnego) — „Wojciech".
rys. Leopold Buczkowski

Łukasiewicz wzruszył ramionami.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Trudno zresztą szacować w pieniądzach korzyści społecznych, a wszak w naszej pracy to nam przede wszystkim przyświecać powinno.

Odpowiedź ta zbiła z tropu agentów kapitalistycznych. Zaczęli oni z innej beczki, pytając: za ile tysięcy dolarów skłonny jest — Łukasiewicz pokazać kopalnię i rafinerię.

— Rafineria moja stoi otworem przed wszystkimi. Każdy kto interesuje się przerobem ropy może ją zwiedzić, a co się tyczy objaśnień, jeśli mogą one posłużyć sprawie ulepszenia sposobu przerobu ropy, zawsze chętnie i bezpłatnie ich udzielam, bo moim zdaniem nie powinno być tajemnic jeśli chodzi o postęp.

Amerykanom nie przypadła do gustu ta odpowiedź. Mister Andrews, spojrzał na pozostałych członków delegacji. Ich zdumione miny utwierdziły go, iż się jednak nie przesłyszał.

Amerykanie przebywali kilka dni w kopalni Łukasiewicza. Notowali wszystkie szczegóły, sporządzali nawet szkice urządzeń, zapisywali całe strony notesów.

* * *

Wkrótce zmarł Łukasiewicz... Przestała istnieć wspomagająca robotników — „bracka kasa Łukasiewicza". Obniżono im płace. Polskie pola naftowe wykupili obcy kapitaliści. Przybywało pieniędzy w portfelach mister Mac Carweya, Bergheimea i innych, żerujących na polskich bogactwach mineralnych.

Górnictwo polskie chyli się ku upadkowi, nie rozbudowuje się. Setki górników naftowych opuszcza kraj w poszukiwaniu pracy i chleba. Dobrze charakteryzuje sytuację ekonomiczną górnictwa naftowego w Galicji dr Władysław Szajnocha w swej pracy wydanej w Krakowie w roku 1881 — „Górnictwto w Galicji wobec ustawodawstwa górniczego".

„30 blisko lat mija jak źródło oleju skalnego po raz wtóry w Galicji odkryto. Jak nafta z prostego smarowidła do wozu, stała się cennym środkiem do oświetlania, a tzw. przemysł naftowy stoi obecnie na tym stopniu rozwoju, że własne potrzeby Galicji nie jest w stanie pokryć i że na wielu targach krajowych nafta galicyjska z zagraniczną, konkurencji utrzymać nie może. W miejsce kwitnących kolonii robotniczych, które wzdłuż całego pasu Karpat galicyjskich mogłyby powstać, widzimy zwiększenie tylko liczby karczem i sądów, zamiast podniesienia stanu ekonomicznego — oświaty, bezład, anarchia, apatia, życie bez jutra, nierząd i ogólna ruina".

* * *

Późniejszy okres nie przyniósł górnictwu naftowemu nic nowego. Naftę dręczy kryzys spowodowany tzw. nadprodukcją i spadkiem cen. „Standard Oil Company" i usiłująca jej dorównać „Nene Frete Presse" dążyły do wyniszczenia zasobów naftowych Polski, by pozbyć się konkurenta w Europie. Jeszcze w okresie międzywojennym, w kopalniach „nafty" pracowały przestarzałe typy urządzeń, przypominające tamte lata...

Dopiero dzisiaj, przemysł naftowy stał się nowoczesnym przemysłem. Powstały nowe kopalnie w sanockim i gorlickim, wyposażone w nowe typy urządzeń wiertniczych i aparaturę radzieckiej i polskiej konstrukcji. Przeprowadzono mechanizację i modernizację kopalń, padają rekordy wierceń, wynoszące ponad 3 tys. m głębokości.

Tak więc w dziedzinie postępu technicznego uczyniliśmy bardzo dużo. Obecnie prowadzone są badania w celu opracowania nowych sposobów wydobywania ropy. Czyni się starania o uzyskanie radzieckich prototypów turbo i elektrowiertów. Polscy konstruktorzy, opracowali nieznane dotąd w przemyśle naftowym urządzenia z zakresu pomiarów, eksploatacji i wierceń. Idziemy naprzód. Polscy geolodzy i inżynierowie — górnicy podejmują się nowych rozwiązań technicznych. Nauka i postęp techniczny w górnictwie naftowym, osiąga coraz lepsze wyniki. Górnictwo naftowe pomaga rozwijać się siłom wytwórczym naszego kraju.

W. JAWCZAK

NA PRASIARSKIM SZLAKU

Ponieważ bezpośrednio nie ma dojazdu koleją do Leska więc zdarza się niejednemu turyście, że z Łukawicy lub z Zagórza od pociągu trzeba iść piechotą, czy też szukać dość kosztownej „okazji".

Z daleka widać panoramę Leska. Leżące na stoku góry, nieskładnie zabudowane miasteczko, niewiele przypomina dawną świetność.

W sędziwym dziele Michała Balińskiego pt. **„Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym opisana"** — wyczytałem:

„Zygmunt August potwierdzając 1550 r. dawniejsze jarmarki w mieście Lesko, dziedzicznem Piotra Kmity W-dy krak. przyczynia trzeci, powtórnym zaś przywilejem, dozwalając mieszczanom wszelkimi handlować towarami, uwalnia ich w całym kraju od opłaty cła, grobelnego, mostowego, targowego".

Jak z tego wynika w r 1550 mieszkańcy Leska jeździli, handlowali po całej Polsce i byli znani szeroko.

Mieczysław Orłowicz pisząc, że zamek w Lesku został zbudowany w r. 1550 przez Piotra Kmitę, miał zapewne na myśli odbudowę lub przebudowę zamku stojącego tu od dawna.

Ślady i położenie wskazują na b. stare pochodzenie pierwotnego zamku. Przypuszczalnie dzieje jego należałoby cofnąć do czasów gdy tędy prowadził starogrecki szlak bursztynowy od Bałtyku do Morza Śródziemnego.

W tych czasach kupcy puszczając się w daleką i niebezpieczną pod ówczas drogę nad Bałtyk nie szczędzili kosztów by na tym szlaku zakładać warownie.

Starożytny szlak handlowy z południa ku północy, chroniła dość gęsta linia zamków średniowiecznych, nie tylko przed najazdem od wschodu, ale i od południa. Warownie takie często ulegały zniszczeniu. Tak np. zamek „Sobień", leżący nad Sanem w odległości kilku kilometrów na północ od Leska, został zburzony przez Madziarów w r. 1474.

Zamek w Baligrodzie, 20 km na południe od Leska, też zabezpieczał drogę handlową z Węgier na północ do Polski. Szlakiem tym: Cisna — Baligród — Lesko sprowadzano w XVI i XVII wieku wino węgierskie. Import ten musiał być poważny, skoro interesował się tym sejm polski.

Uchwała sejmu z roku 1633 stanowi o Baligrodzie:

„Za prośbę posłów ziemskich y za wspólną zgodą wszech stanów, pozwalamy ur. Adamowi Balowi składu winnego, czasy wiecznemi, do miasteczka jego dziedzicznego Balogrodu, z wolnościami y prerogatywami takimi, iakie insze miasta pograniczne nasze, PP. duchownych y świeckich maią".

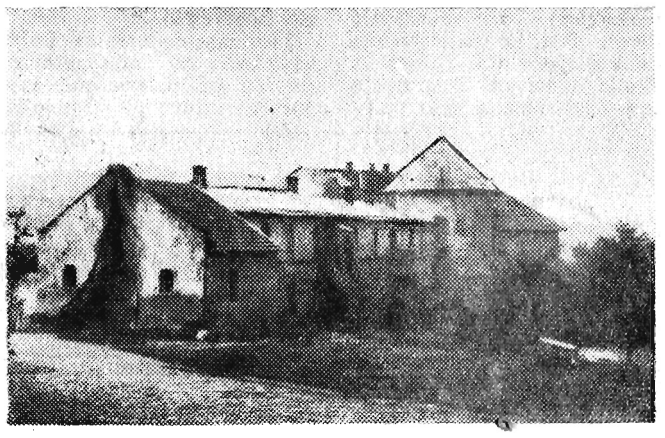

Na zdjęciu: Zamek w Lesku. Obecnie bursa dla młodzieży szkolnej.

Michał Baliński pisze o Baligrodzie: „leżąc blisko granicy węgierskiej, znaczny nie gdyś prowadził handel, jarmarki zaś tutejsze niepośledną miały wziętość".

W zamku leskim dawnym pałacu Krasickich, mieści się dzisiaj bursa dla młodzieży szkolnej. Wychowują się młode kadry.

Zaś przepiękny park zamkowy porastający stok góry nad Sanem, zamieniony jest obecnie na park. Ludzie pracy przychodzą tu teraz by odpocząć w cieniu kilkusetletnich drzew.

Władysław Piątkowski

Wilhelm Mach wśród czytelników

To były udane spotkania. A przecież różnie bywa, gdy literaci przyjadą na tak zwaną prowincję. Czasem frekwencja dopisuje, bo przecież ludzie są ciekawi zobaczyć takiego, co pisze książki. A najbardziej ciekawe są dzieci. Niekiedy liczna ich gromadka, pod opieką albo bez opieki matczynej, słucha mniej lub więcej spokojnie uwag na temat schematyzmu w powieści współczesnej albo roli metafory w poezji.

Byłem na takim wieczorze autorskim, kiedy znanego, młodego satyryka krakowskiego zapytała kilkunastoletnia uczennica, czy to prawda, co napisał we frasz ce: w którym to mianowicie zakładzie pracy dzieci chodziły na wywiadówki, by się dowiedzieć o postępach swych rodziców w pracy zawodowej?

Czasem z frekwencją jest gorzej, przypadkowym, dorywczo zebranym słuchaczom trudno jest zabrać głos w dyskusji nad tak zagadkowymi sprawami jak „oszczędność środków wyrazu", czy „odwilż w literaturze".

Inaczej było z Wilhelmem Machem w Ropczycach i Dębicy. Autor **„Jaworowego domu"** przyjechał po prostu w swe rodzinne strony; znalazł na spotkaniu swych krewnych, znajomych i kolegów. Przecież w Ropczycach chodził do gimnazjum kilka lat, co opisał w pięknym opowiadaniu **„Szkoła wielkiego burmistrza"**. Potem przeniósł się do gimnazjum dębickiego, gdzie zdał maturę w r. 1936. Czy można się dziwić, że gromadka kolegów zwartym kołem otoczyła kolegę — pisarza w Dębicy, pragnąc z nim osobno pogawędzić?

Jest przecież wiosna. Czy można się dziwić naręczom kwiatów, których tyle było na stoliku, za którym siedział pisarz, że trzeba było usunąć ich trochę, by objąć wzrokiem całą salę.

To był wyraz radości i dumy z rodaka, czy kolegi, który jest już dzisiaj pisarzem.

Czy jednak te kwiaty i serdeczna atmosfera spotkań stanowiła przeszkodę w dyskusji nad dorobkiem pisarskich Macha? Może tak było w Ropczycach na początku spotkania, gdy paru uczniów przemówiło w tonie pochwalnym, wyrażając się w superlatywach o **„Jaworowym domu"**. Ale sam autor szybko skierował dyskusję na właściwe tory.

„Pisarzowi potrzebna jest życzliwa krytyka i to bardziej, niż pochwały — powiedział. — **Wiem trochę co mówią o mej książce, że jest trudno napisana, że mówi o wsi, ale na wsi nie każdy ją rozumie. I wy pewnie też tak myślicie i trzeba, żebyśmy sobie szczerze i otwarcie o tym porozmawiali".**

I zaczęli mówić. Starsi i młodsi. Mówili zresztą nie tylko o **„Jaworowym domu"**, ale i o pierwszej powieści Macha sprzed 5 laty pt. **„Rdza"**.

Dlaczego o **„Rdzy"**? Bo jej akcja rozgrywa się w okolicach Sędziszowa i to interesowało wielu słuchaczy. Ale Mach sam przyznał, że ten jego debiut powieściowy pełen jest zbyt drobiazgowej analizy psychologicznej. Natomiast w **„Jaworowym domu"** starał się położyć nacisk na działanie postaci powieściowych.

A dlaczego i ta książka nie jest zupełnie łatwa do czytania? Nie tylko dlatego, że tych postaci jest trochę za dużo, że trudno się w nich od razu zorientować. Trzeba podkreślić, że styl jest zwięzły, oszczędny, czytelnik musi się niejednego domyśleć, zastanowić nad sensem zdarzeń i dialogów.

„Chodziło mi o to, by czytelnikowi zostawić jednak pewną swobodę myślenia. Nie wszystko musi być w powieści wyłożone, jak w elementarzu" — uzasadniał Mach swój pogląd na sprawę.

Raz po raz wracali dyskutanci do często spotykanego zagadnienia autentyzmu. Gdzie się toczy akcja **„Jaworowego domu"**? Może w Kamionce, rodzinnej wsi autora? I które postacie są autentyczne?

I tu Mach wyszedł obronną ręką:

„Gdyby wszystkie nazwy miejscowości i nazwiska były autentyczne, byłby to reportaż, a ja przecież chciałem napisać powieść, gdzie fikcja, zmyślenie ma swoje szczególne znaczenie. Niedawno byłem w Białymstoku. Jedna z dyskutantek w czasie spotkania wyznała, że w Bielawie z „Jaworowego domu" poznała swą wieś rodzinną w Białostockim. Była to dla mnie wielka radość, bo przecież pierwszy raz byłem w tamtych stronach. Oczywiście pisząc powieść, miałem przed oczyma moją rodzinną Kamionkę. Ale wielu czytelników może jeszcze ujrzeć w mej powieści swą znajomą wieś w różnych stronach Polski. W ten sposób zainteresowanie książką wzrasta, jej oddziaływanie jest znacznie szersze. Niejedną sprawę można uogólnić. To jest tak zwana fikcja literacka, do której pisarz ma prawo".

Spotkanie w Dębicy trwało 3 godziny. Za długo—powiadacie? A jednak słuchacze wytrzymali i to nie tylko z grzeczności, ale po prostu dlatego, że Mach mówił ciekawie, bezpośrednio z poczuciem humoru.

Po spotkaniu opowiadał też, że miał dużą satysfakcję w jednej z księgarń w Rzeszowie. Nie zdradzając swego nazwiska zapytał o **„Jaworowy dom"**. Odpowiedziano mu: „Niestety, przykład już wysprzedany, pytają klienci o nią dość często, zamówiliśmy nową partię".

Kontakt z czytelnikami jest pożyteczny nie tylko dla czytelników, pisarz też wiele na tym korzysta. Tak jest i z Machem, którego druga powieść jest dużym krokiem naprzód w stosunku do debiutanckiej **„Rdzy"**. Mamy nadzieję, że następna powieść Macha będzie dojrzałym wyrazem jego możliwości pisarskich, a równocześnie spełni wypowiedziane czy utajone marzenia i tęsknoty czytelników za piękną, współczesną powieścią.

Tadeusz Stanisz

OKRUCHY LITERACKO HISTORYCZNE

W RZESZOWIE WYSTAWA ROLNICZA

W okresie gdy na ziemiach polskich usilnie propagowano sojusz szlachty z chłopstwem (w rzeczywistości myślano o warstwie najbogatszych chłopów), nastąpiło w Rzeszowie w czerwcu 1861 r. otwarcie wystawy rolniczej. Dopuszczono do niej również włościan i to zarówno w charakterze wystawców, jak i zwiedzających.

Na wystawie pokazano sukno Macieja Banka nagrodzone medalami w Paryżu, baje i dery chłopskiego wyrobu, a poza tym trunki z Łańcuta i Przeworska. Z wyrobów przemysłowych znalazła się wśród eksponatów żniwiarka Nerunowicza z Jarosławia.

Mały zgrzyt nastąpił dopiero kiedy ktoś z komitetu organizacyjnego wystąpił z wnioskiem o stworzenie drogą składek stypendium naukowego dla chłopa z okolic Rzeszowa. Propozycję tę — jak można było przewidzieć odrzucono, dając tym samym żywy przykład braku troski o oświatę włościaństwa.

NIEGDYŚ I DZIŚ

W marcowym numerze dwutygodnika „Życie gospodarcze" ukazał się ciekawy artykuł pt. „Na tropach Wańkowicza". Autorka zestawia w nim zmiany, jakie zaszły w położeniu ludności małej wsi Pławie w wyniku budowy nowego ośrodka przemysłowego. Porównanie dotyczy okresu przedwojennego tzw. COP oraz ostatnich lat planu sześcioletniego.

Pamiętamy wrzawę, jaka rozpętała się w związku z tworzeniem COP-u. Stalową Wolę nazwał Wańkowicz polskim Magnitogorskiem, a w swej „Sztafecie" pisał: „Opowiem wam o polskim Magnitogorsku, o polskim Magnitostroju. Słuchajcie, słuchajcie...."

Tymczasem budowa huty wpłynęła w minimalnym stopniu na polepszenie sytuacji pobliskiej ludności wiejskiej. Tylko mała część mieszkańców Pławia otrzymała sezonowe zatrudnienie w pracach ziemnych. Poza tym zarabiano trochę na noclegach. Rozdmuchany COP słusznie więc nazywano Centralnym Oszustwem Propagandowym.

W okresie 1949-1955 r. wiele zmieniło się w życiu mieszkańców Pławia. Znaczna część młodzieży wyjeżdża na studia, po ukończeniu których zasila miejscowe kadry fachowców. W hucie znalazło zatrudnienie 500 osób (przed wojną jedna — na stałe). Ciągle rośnie ilość chłopów — zatrudnionych w hucie. Dowodem zaś dobrobytu są dane statystyczne, które mówią, że na wsi rzeszowskiej w stosunku do okresu przedwojennego wzrosła o 150 proc. konsumcja mięsa; spożycie cukru zwiększyło się 2 razy.

Rozwija się młody stalowowolski ośrodek przemysłowy. Wraz z nim rozwijają się i rosną ludzie.

I. J.

Chwała zakładom gastronomicznym

Wiele już się biadało, pisało, mówiło na temat naszych rzeszowskich restauracji. Dziś przyszedł czas dziękczynienie im głosić. Wiele się tam bowiem zmieniło na lepsze.

A więc:

Za to, że na kelnera nie trzeba czekać dłużej niż 2 godziny.

Chwała Wam Gastronomowie

Za to, że w talerzu rzadko znajdziesz więcej niż trzy włosy

Chwała Wam Gastronomowie

Za to, że w jadłospisie oprócz bigosu i nereczek w sosie własnym znajdzie także dorsza z wody z kartofelkami pure.

Chwała Wam Gastronomowie

Za to, że na talerzu znaleźć można przysmażoną cebulkę pozostałą z poprzedniej potrawy i to drożej nie kosztuje

Chwała Wam Gastronomowie

Za to, że na obrusach dać się można geografii, albowiem splamione przypominają one atlas

Chwała Wam Gastronomowie

Za to, że kiszona kapustka upuszczona nieopatrznie na spodnie swoim kwasem nie wypala nam dziury w kolanie a tylko dziurę w odzieniu

Chwała Wam Gastronomowie

Za to, że kelnerzy sporządzając rachunek nigdy nie mylą się na korzyść klienta, a raczej na swoją.

Chwała Wam Gastronomowie

Za to, że pijaków i chuliganów otacza się pełną pobłażliwością i opieką zamiast wyrzucić ich na zbitą twarz

Chwała Wam Gastronomowie

Za szczególną troskę o nasze żołądki

Po trzykroć Chwała Wam Gastronomowie

M. S.

Gdzie można tanio kupić fortepian

Czy my chcąc kupić pastę do zębów idziemy po nią do drogerii? Nie! Boli cię człowieku głowa, marzysz o proszku z korutkiem, biegniesz o cierpiący do apteki? Nie! A mydełko pachnące, którego pianą pokryjesz wszelkie nieczystości na ciele Twoim i spłuknąwszy ujrzysz ciało czystym — gdzie kupisz?

W kiosku „RUCHU", a obecnie PUPIKU.

W najbliższym czasie będzie tam można nabywać opony samochodowe, cement, drzewo budulcowe, penicylinę, farbki do prania, kapelusze meskie i damskie, łóżka składane i liny konopne.

Sprzedawane będą również fortepiany. Wprowadzenie do obrotu tego artykułu wymaga jednak pewnego powiększenia budki co wkrótce zostanie dokonane.

Czy gazety i czasopisma będzie można tam kupić? Raczej nie. Od tego są przecież drogerie, sklepy spożywcze, sklepy z artykułami przemysłowymi i apteki. M. S.

Ci z »plecami« i »bez pleców«

Żeby ktoś nie pomylił Padwi z Padwą należy zaznaczyć, że ta pierwsza znajduje się w powiecie mieleckim, a nie w słonecznej dalekiej Italii i o tę pierwszą właśnie tu chodzi. Niby nic ważnego — takie wypadki mogą się zdarzyć (i zdarzają się) nie tylko w Padwi, ale i gdzie indziej. Jednak... do rzeczy.

A więc „zawracał" głowę członkom Prezydium GRN i ZSCh i GS niejaki Józef Kamiński, że musi budować to, że musi budować tamto, że musi budować owo i że dlatego musi otrzymać przydział cementu i desek. No cóż — widocznie mu potrzeba, skoro żąda — doszli do na pozór słusznego wniosku członkowie Prezydium, a utwierdził ich w tym przekonaniu — jak wieść niesie — „sam" prezes ZSCh — Józef Małdziński. Trzeba mu dać — orzekli zgodnie. I dali. Całe 2.400 kg cementu i cały metr sześc. desek.

A tymczasem Kamińskiemu rzeczywiście było potrzeba cementu i desek. I to nawet bardzo. Ale nie do budowy! Nic podobnego! Do tzw. „spuszczenia na lewo" takiemu, co ma dużo pieniędzy, a za to nie ma takich jak Kamiński „pleców". No i „spuścił" Kamiński ten cement — oczywiście nie ze stratą, a z podwójnym zarobkiem. Sam zapłacił po 56 zł za kwintal, a jemu zapłacono po 100 zł (słownie: sto). Grunt to spryt do interesu.

Józef Maciuba także koniecznie potrzebował cementu i także „na budowę". Tak że dostał — całe 900 kg i tak że sprzedał. Ma się rozumieć — także z takim samym zarobkiem. Kumoterstwo? Nic podobnego. Tylko dobre „plecy". A kto ich nie ma... temu w Padwi „wiatr w oczy".

Z początkiem br. wpłynęło do Prezydium PRN w Mielcu podanie o zwolnienie z obowiązkowych dostaw. Wniósł je ob. Kazimierz Krzesaj z Padwi. Jest on repatriantem, a w Padwi otrzymał poniemiecki dom i 3,5 ha ziemi znajdującej się w odległości około 7 km. Ponadto ma on 70 lat, chorą, sparaliżowaną od kilkunastu lat żonę oraz pasierbicę — kobietę w starszym wieku. „Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi", ale gdy nie chcą to nie wiedzą. Tak jak nie chcieli wiedzieć członkowie Prezydium GRN o Kamińskim i Maciubie, tak też nie chcą wiedzieć i o Krzesaju. Co prawda z innych przyczyn, a zatem skutki tej świadomej niewiedzy są zupełnie różne. Kamińskiemu cement się nie należał, a otrzymał go, zaś Krzesajowi — jeśli już nie całkowite zwolnienie to przynajmniej znaczna ulga w dostawach — należała się, a nie otrzymał jej.

A może kogoś ciekawi w jaki sposób Prezydium GRN w Padwi piecze przy jednym ogniu dwie pieczenie? (Wyjaśnienie: jeden ogień to posiedzenie Prezydium GRN, a pieczenie to zaopiniowanie podania i równocześnie „agitacja" za wstąpieniem do spółdzielni produkcyjnej). Otóż tak: podanie ob. Krzesaja zaopiniowano w ten sposób: „załatwić odmownie, gdy nie ma kto gospodarzyć więc należy jego i żonę oddać do domu starców, zaś pasierbica niech idzie do spółdzielni produkcyjnej".

To się nazywa „salomonowy wyrok". Bo gdyby Salomon miał do czynienia z takimi ca mają „plecy" i z takimi co ich nie mają—też inaczej nie postąpiłby. Cóż więc wymagać od członków PGRN, skoro nie są Salomonami? A jednak można wymagać. Nie wiele: ludzkiego stosunku do ludzi, tak do kombinatorów jak i do uczciwych.

Adam Ochocki

Bajka o nowej szafie
według starej bajki o rzeczce

Nabył dziadunio szafę w Pedecie,
Szafa potrzebna w domu, jak wiecie.
Aby więc schować w nią to i owo,
Dziadek obszerną kupił, trzydrzwiową,
I za szufladę dziadek nieboże
Ciągnie i ciągnie, wyciągnąć nie może.

Szczęśliwy pomysł błysnął mu naraz;
Zawołał babcię: — Pomóż mi, stara!
I biedny dziadek z babcią niebogą
Ciągną i ciągną, wyciągnąć nie mogą.
Babcia za dziadka,
Dziad za szufladę,
Oj, bez pomocy nie damy rady!

Wnuczek grał w klipę zostawił patyk,
Poci się, sapie, jak ten astmatyk.
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziad za szufladę,
Oj, bez pomocy nie damy rady!
Pocą się sapią, stękają srogo,
Ale szuflady wyciągnąć nie mogą.

Potem pies Mruczek przybiegł z ukrycia,
A za nim kotek — prześliczna kicia.
Kotek za Mruczka,
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziad za szufladę,
Oj, bez pomocy nie damy rady!
Pocą się sapią, stękają srogo,
Ale szuflady wyciągnąć nie mogą.

Na dole traktor stał wielki z POM-u,
Więc go przywiedli, aby też pomógł.
Traktor za kotka,
Kotek za Mruczka,
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziad za szufladę,
Ciągną i ciągną — nie dają rady.

Aż wstyd powiedzieć
Co było dalej!
Traktor na części dwie się rozwalił,
Stalowe liny też diabli wzięli,
Ale szuflady... nie wyciągnęli!

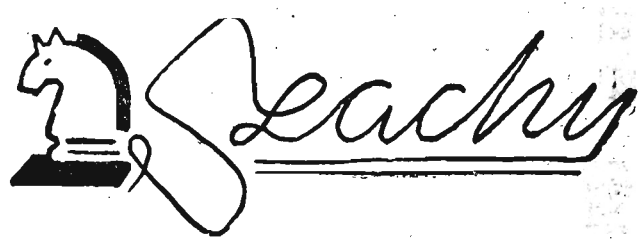

Szampionem ZSRR w szachach na rok 1955 został E. Geller młody arcymistrz z Odessy, który wygrał mecz z W. Smysłowem w stosunku 4,5:3,5. O zwycięstwie zadecydowała dodatkowa 7 partia. Nowy Szampion wyróżnił się w XXII mistrzostwach ZSRR agresywnym, bojowym stylem gry, zwyciężając między innymi mistrza świata M. Botwinnika. Podajemy tę interesującą partię.

Gambit hetmański. Białe: M. Botwinnik — czarne E. Geller.

1. e4 Sf6, 2. d4 e6, 3. Sc3 d5, 4. c4 x d5 (ulubione posunięcie M. Botwinnika) 4. ... e6 x d5, 5. Gg5 c6, 6. e3 (można było grać 6. Hc2, celem niedopuszczenia do Gf5) 6. ... h6, 7. Gh4 Gf5, 8. Gd3 G x d3, 9. H x d3 Ge7, 10. Se2 Sb-d7, 11. O-O O-O, 12. f3 We8, 13. Gf2 (lepsze 13. Wa-d1) 13. ... c5, 14. d x c5 G x c5, 15. Wa-d1 Sd7-e5, 16. Hb5 Hb6, 17. H x b6 a x b6, 18. b3? Se-c6, 19. Sf4 Sb4, 20. Sf4-d3 Sb4 x a2, 23. Sc3 x a2 (nie wolno grać 21. Sxd5 Sxd5 22. Sxc5 z powodu 22. ... Sa-c3) 21. ... Wa8xa2 22. Wf-e1 Gd5 23. h3 (nie przechodziło 23. e4 dxe, 24. Sc1 z powodu 24. .... Gxh2+), 23. ...Wa2-c2, 24. Kf1 Wc3, 25. b4 b5, 26. We2 Wb3, 27. Ge1 Sh5 (pozycja białych ścieśniona, czarne dążą do wymiany S za G, co da im większą swobodę działania), 28. g4? (błąd należało grać 28. Kf2), 28... Sg3+, 29. Gxg3, Gxg3, 30. Kg2 Gd6, 31. Kf2 We-c8, 32. We2-d2 Wc8-c4, 33. Sc1 (na 33. Ke2 mogło nastąpić 33. ... d4, 34. e4 Gxb4) 33. ... Wb3 x b4 33. ... Wb3 x b4, 34. Wd3xd5 Wb2+ 35. Sc1-e2 (nie wolno 35. Wd5-d2 z powodu 35. ... Wxc1 lub 35. Wd1-d2 Wc-c2, 36. Ke2 Ga3 z nieuniknionym przejściem do wygranej dla czarnych końcówki pionowej), 35. ... Gd6-b4, 36. Kf1 Gc5, 37. Sd4 b4, 38. Wd5-d8+ Kg8-h7, 39. Wd8-c8 Wc4-c3, 40. Sd4-e2 Wc3xe3 i białe poddały.

Z.

Pozycja po 34. Wd3x5
Białe: M. Botwinnik

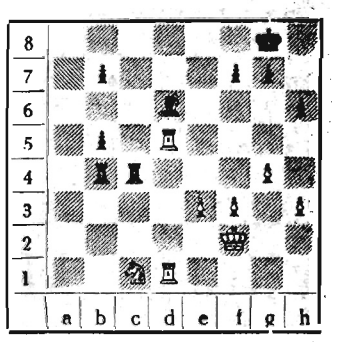

ZADANIE SZACHOWE

Czarne: E. Geller
Pozycja białe: Kf2, Wd1, Wd8, Sc1, piony e3, f3, g4 i h3 (8)
czarne: Kg8, Wb4, Wc4, Gd6, piony b5, b7, f7, g7 i h6 (9).

Krzyżówka

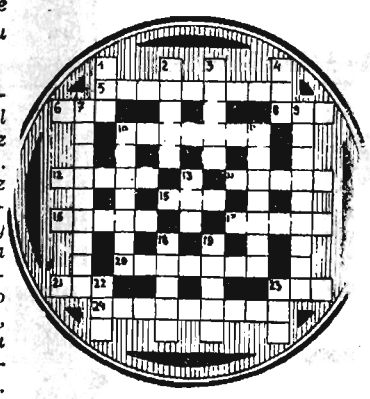

Poziomo: 5. postrach dla dyrektorów i dowódców, 6. ucina głowy, 8. motyl, 10. nie ma do niej drogi, 12. srogi władca, 14. bardzo kochana, prowadzi też do celu, 15. złośliwa jak ..., 16. śmieszna lecz nieuleczalna choroba, 17. sprawa finansowa, miłosna itp. — przeważnie nieczysta, 20. występuje z 40 rozbójnikami, 21. wielki upominek, 23. uosobienie dumy, 24. bez niej nie ma życia.

Pionowo: 1. legendarne zdarzenie, 2. może być Robesona, albo słowika, 3. bardzo gorący, 4. bywa taka jak „nać". Niechęć do kogoś, 9. tłuszcz jadalny, 10. król wodospadów, 11. pomocna, gdy się urwie guzik, 13. silniejsze od króla, 18. czeka na Laurę „pod umiłowanym jaworem", 19. znana jest jako „eolska" i orkiestrowa, 22. pieką go panny, 23. bierze się za niego nogi.

Kalambury

I. Kawałek lodu plus zgromadzenie
Czasem v. „bażanta" chłopca zamieni.

II. Pierwsze bulgocze, a mruczy wtóry —
Całość słyszymy nawet zza chmury.

Za trafne rozwiązanie tych zadań przesłane do 10 dni pod adresem redakcji z dopiskiem: „Rozrywki umysłowe" są przeznaczone do rozlosowania 3 nagrody w postaci bonów książkowych.

Nagrody

za trafne rozwiązanie zadań otrzymują: z Nr 9: Teresa Nutowska z Woli Rafałowskiej, A. Zabłocka z Rzeszowa, August Gliniak z Sieniawy Jar. Z Nr 10: Alicja Butrym z Przemyśla, Maria Beigert z Przemyśla, Jerzy Lach z Mielca. Z Nr 12: Zdzisław Hołyński z Rzeszowa, Kazimierz Kaszycki z Rzeszowa, Kazimierz Laszkiewicz z Rzeszowa. Z Nr 13: Jerzy Kwiatkowski z Włodawy, Czesław Strzelnicki z Krakowa, Władysława Horodyska z Pilzna. Z Nr 14: Jerzy Kupiec z Krakowa, Stefan Linkiewicz ze Strzyżowa i Jan Kolisz z Wojsławia.

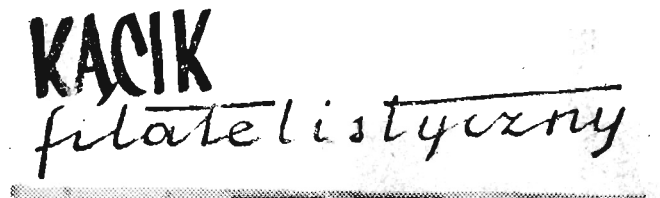

Zbieracze znaczków pocztowych chętnie kolekcjonują, tzw. całostki, do których między innymi należą także kompletne serie kasowane na kopertach stemplem okolicznościowym oraz kasownikiem pierwszego dnia obiegu znaczka.

Na rycinie całostka ze znaczkami węgierskimi, wydanymi z okazji 10-lecia wyzwolenia Węgier przez Armię Radziecką. Seria powyższa składa się z czterech znaczków o wartości 40 i 60 f, 1 i 2 ft.

J. Krywiak